



TONĄC W MORZU KRWI

Kiedy ślady znikają, a świadkowie milczą,
jedyną odpowiedzią staje się zło.

LUDWIK LUNAR

FILIA

LUDWIK LUNAR

**TONĄC
W MORZU
KRWI**

FILIA

*Grażynie,
za nieustające wsparcie i wiarę we wszystko, co robię*

PROLOG

Otworzyła oczy, ale niczego nie zobaczyła, zupełnie jakby coś przesłaniało jej widok. Chciała potrzebę zmęczone powieki dłońmi, ale te pozostały bez ruchu. Odezwał się jedynie silny, kłujący ból w lewym ramieniu – i dopiero wtedy zorientowała się, że leży na boku.

Zamrugła oczyma, ale czarny mrok był tak gęsty i ciężki, jakby ktoś zatopił jej ciało w ogromnej beczce ze smołą. Powietrze cuchnęło stęchlizną i chłodem, a zimna, ubita ziemia, na której leżała, była twarda jak kamień.

Podniosłaby się, gdyby nie ten potworny ból, który teraz dawał o sobie znać także w innych częściach ciała. Czuła się tak, jakby ktoś obdzierał ją ze skóry, a w głowie szumiała jej dziwna, złowieszcza pustka. W ustach czuła swoisty metaliczny posmak krwi, która musiała spłynąć z jej nosa, a może z rozbitej wargi.

Próbowała zebrać myśli, te jednak wciąż rozplływały się i uciekały z jej obolałej głowy. Wyteżyła więc słuch, ale poza ciężkim oddechem, który wydierał się z jej klatki piersiowej, nie docierał do niej żaden dźwięk.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, zawołać kogoś lub zadać pytanie. Głos ugrzązł jednak w jej krtani, jakby ktoś wbił w nią ciężki klin milczenia.

O co właściwie chciała zapytać? Kogo prosić o pomoc?

Przejmujące zimno, które ciągnęło od ubitej ziemi i szorstkich kamiennych ścian, sprawiało, że skóra szczypała, a całe jej ciało drżało, jakby ktoś szorował je drucianą szczotką.

Wszystko to zdawało się tylko złym snem, koszmarem, z którego nie można się wybudzić. Jedynie ból był zatrważająco prawdziwy. Trudno było wierzyć, że w końcu otworzy oczy i zbudzi się w swoim łóżku.

Przez chwilę myślała już, że umarła, że dusza opuściła ją i zawisała pośród czerni otchłani, czekając na to, co nadchodzi po śmierci.

A co, jeśli nic po niej nie ma?

Przeraziłaby się tą myślą, gdyby nie obietnica niebytu, który powinien wyswobodzić ją także od tego potwornego bólu i pustki trwożącej ospały umysł.

Gdzie właściwie się znalazła i dlaczego tu trafiła?

Próbowała usnąć, choć nie miała pewności, czy nie zrobiła tego już kilkakrotnie, wybudzała się jednak co chwila, by dręczyć się bólem i brakiem zrozumienia. Zapłakałaby, gdyby oczy nie były tak doszczętnie suche.

Nagle ni stąd, ni zowąd coś się jej przypomniało. Dziwny, rozedrgany obraz, który przepłynął powoli przed jej oczami, jakby ktoś wyświetlił na ścianie kolorowy film. Kilka wibrujących postaci, których twarze rozmazywały się w nieczytelne plamy.

Nie potrafiła ich rozpoznać, choć już prawie przypomniała sobie imiona. Tych kilka głosek, których sensu jeszcze nie zgłębiła, sprawiło, że zrobiło jej się cieplej na sercu.

Wytężała umysł, by przyjemne uczucie jej nie opuściło, i wtedy usłyszała to po raz pierwszy.

Brzmiało jak ciche kwilenie. Piskliwy szept. Urywany, żałosny i przejmujący jęk.

– Mama? – zapytał głos dochodzący z tak bliska, że całe jej ciało stężało z przerażenia.

KLIF

Ostatnie dni maja potrafiły być chłodne, czego dzisiejsza pogoda była najlepszym przykładem. Słońce wciąż wisiało nisko, ale niemal bezchmurne niebo zapowiadało względnie przyjemną aurę. Zwłaszcza jeśli planowało się spacer z daleka od morza. Bo tu, gdzie się znajdował, lekko wzburzone fale zdradzały bezlitosną siłę natury.

Edward Sokulski spojrzał na orłowską plażę, na której zauważył tylko dwie samotne postacie. Szły oddalone od siebie o dobrych kilkanaście metrów, a wokół biegały trzy psy. Dwa wyglądały na rasowe, wyżeł i długowłosy chart, być może borzoi. Trzeci trącił dobermanem, choć oklapnięte długie uszy i ogon sprawiały, że prezentował się odrobinę jak gończy polski.

Trudno było jednoznacznie powiedzieć, które ze spacerowiczów było ich właścicielem, zapewne oboje, gdyż Sokół wątpił, że ktokolwiek o zdrowych zmysłach bez przymusu wybrałby się w tak wietrzną pogodę na samotny spacer po plaży.

Co zatem należało powiedzieć o tych, którzy w taki dzień planowali wdrapać się na klif?

Szaleńcy?

Samobójcy?

A może policjanci?

Starszy aspirant Sokulski postawił kołnierz kurtki, którą wziął z sobą tylko dlatego, że jego żona na to nalegała. Teraz dziękował jej w duchu za tę nadopiekuńczość, którą wykazywała od czasu, kiedy do siebie wrócili. Po prawdzie nie powinien się jej dziwić. Nie po tym, co razem przeszli.

Żałował tylko, że nie dał się namówić na wiatrówkę z kapturem, bo mroźne podmuchy niemiłosiernie smagały jego głowę, a uszy i nos czuł teraz bardziej niż którąkolwiek inną część ciała.

– Niech to – syknął, wciskając głowę między ramiona, jakby był wielkim żółwiem.

Szybkim krokiem dotarł do końca uliczki, przeciął niewielki parking, a następnie wszedł na pierwsze stopnie drewnianych schodów. Pięły się niewielką serpentyną po zboczu wzgórza, a dzięki obecności drzew wiatr nagle ucichł i gdyby nie szum fal rozbijających się o piaszczystą plażę i szelest liści, Edward mógłby pomyśleć, że dzień był spokojny. Od-ruchowo sięgnął do kieszeni po papierosa, a gdy go zapalił, poczuł przyjemną ulgę, która rozlała się po ciele.

Wiać zaczęło dopiero wtedy, gdy szedł poziomą ścieżką przecinającą wzgórze. Na szczęście na tej wysokości powiewy nie były już tak silne i porywcze, dzięki czemu mógł odetchnąć swobodnie i spojrzeć na morze bez mrużenia oczu.

Z oddali wszystko było piękniejsze, prostsze i przyjaźniejsze. Niebezpieczeństwa kryły się gdzieś pod rozmazanym obrazem, a przy odpowiednim nastawieniu można było w ogóle ich nie dostrzec.

Zupełnie jak w życiu, pomyślał Sokulski i zaciągnął się ostatnim machem papierosa.

Kiedy Edward dotarł na szczyt, w ogóle się nie zdziwił, że nikogo tam nie zastał. Klif Orłowski wychylał się do przodu, jakby las wyciągał dłoń w kierunku morza. Od lat zalesiony i porośnięty trawą fragment ziemi o kształcie poszarpanego trójkąta opadał w stronę plaży.

Sokulski wkroczył na zwężający się grunt, a im bliżej krawędzi się znajdował, tym jego kroki stawały się mniejsze i wolniejsze. Nie dotarł niestety na tyle blisko, by zobaczyć wąski przesmyk plaży poniżej, na którym leżały wielkie kamienie. Wiedział jednak, że były tam na dole, a pokrywające je krew i roztrzaskany mózg już dawno zmyły fale i słona woda.

Klif jako ostatnią podróż wybierali romantycy pragnący zakończyć swe życie w miejscu, gdzie jedynym świadkiem ich śmierci staną się wody zatoki, poszarpane zbocze i twarde głazy. Nie zdarzało się to zbyt często, ale było na tyle wzniosłe, że każde samobójstwo popełnione w tym miejscu miało się w pamięci, ilekroć odwiedzało się to urwisko.

Edward pociągnął nosem i przytknął na chwilę oczy. Nie zastanawiał się nad tym, jak to jest zrobić tych kilka następnych kroków, oderwać stopy od miękkiej ziemi i runąć z wysokości wprost na wielkie kamienie o ostrych brzegach. Nie był ciekawy, czy w trakcie krótkiego lotu, który trwa najwyżej trzy, może cztery sekundy, życie przewija się przed oczami. Nie interesowało go to, czy śmierć następuje od razu przy roztrzaskaniu o zimne głazy, czy dopiero po minutach, a może kwadransach lub nawet godzinach męczarni.

Nie, Sokulski zastanawiał się nad tym, jaka była prawda, a pod powiekami wyświetlały mu się migawki z fotografii wykonanych przez techników.

Mężczyzna w wieku pięćdziesięciu dwóch lat leżał na plecach z nienaturalnie wygiętymi nogami i rękoma. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że doszło do wielu poważnych urazów ciała, zwłaszcza jeśli chodziło o wszystkie kończyny, które wyglądały jak połamane zapalki.

Sekcja zwłok dołożyła do tego kilka poważnych zmian w kręgosłupie, w tym przerwanie rdzenia kręgowego w co najmniej dwóch miejscach, ale nie udzieliła odpowiedzi na pytanie, czy to właśnie te uszkodzenia były przyczyną śmierci. Równie dobrze o szybkim końcu zdecydować mogła rozbita głowa, która niemalże rozłupała się na dwie połowy, trafiając na ostre wybrzuszenie jednego z kamieni. Krew, mimo że w dużej mierze pochłonięta przez morską wodę, wciąż była widoczna na fotografiach, dlatego każdy, kto je oglądał, z góry zakładał, że to właśnie roztrzaskana czaszka i wypływający z niej mózg stały się powodem szybkiego zgonu.

Sokulskiego nie zastanawiała bezpośrednia przyczyna śmierci, ale to, dlaczego mężczyzna umarł. Do zdarzenia doszło pięć lat temu i Edward doskonale pamiętał je z nagłówków gazet, które przez dobry tydzień pisały o nim, zapewne z nadzieją, że ukują z tego dobry temat, a potem pociągną go przez długie miesiące. Sprawa jednak dość szybko się rozmyła, gdy tylko prokuratura podała do oficjalnej wiadomości, że powodem śmierci był nieszczęśliwy wypadek.

Rafał Dobrzycki miał we krwi blisko dwa promile alkoholu i według przyjętej wersji wybrał się na samotny spacer,

gdzie w stanie upojenia zdobył się na niepotrzebną brawurę, podszedł zbyt blisko krawędzi klifu i spadł na kamienie. To właśnie obecność alkoholu we krwi denata zadecydowała o tym, że sprawę potraktowano jako nieszczęśliwy wypadek, a nie udaną próbę samobójczą.

– To nie tak – mruknął Sokół, wpatrując się we wzburzone fale.

Coś tu nie pasowało. Nie poznał nigdy Dobrzyckiego, ale jego zdaniem zarówno targnięcie się na własne życie, jak i niefortunne runięcie z klifu zdawały się co najmniej zagadkowe.

Niespełna dwa promile alkoholu we krwi denata być może nie stanowiły niskiego wyniku, ale nie zapisałyby się także w księgach rekordów. Sekcja zwłok natomiast wykazała, że żołądek Dobrzyckiego był pusty, więc alkohol mógł wpłynąć na niego znacznie bardziej niż po posiłku czy zagryzaniu czymś wódki.

Kto jednak pije wódkę na pusty żołądek? Z pewnością nie dobrze sytuowani biznesmeni.

Chyba że mają po temu powody.

Nagle wzburzenie, traumatyczne doznanie lub zła wiadomość, która spada na człowieka jak grom z jasnego nieba. Każde z nich może popchnąć do przyłgnięcia do szyjki butelki, nawet jeśli w żołądku burczy.

Co zatem mogło stanowić tę pierwszą kostkę domina?

Rodzina zmarłego nie wniosła do śledztwa nic sugerującego, że Rafał Dobrzycki miewał przed tragiczną śmiercią gorsze dni. Analiza jego historii, korespondencja ze skrzynki mailowej ani kondycja spółki, której był większościowym

udziałowcem, także nie wskazywały na to, by coś szło nie po jego myśli.

Powodem nie powinna być także śpiączka, w którą po rozległym udarze zapadła jego małżonka, gdyż stan ten trwał już od dobrych siedmiu lat przed feralnym dniem, w którym zginął Dobrzycki.

Zdaniem Edwarda coś innego musiało pchnąć mężczyznę w sile wieku do tak nieodpowiedzialnego zachowania. A jeśli nie były to teraźniejszość i przyszłość, to bez wątpienia odpowiedzi należało szukać w przeszłości.

A ta była równie zagadkowa jak jego śmierć.

BEZ ŚLADU

Kwiecień 1994 roku był wyjątkowo ciepły, a przynajmniej tak opisywali go świadkowie. Mimo to zachowanie Jana Albrechta wydało się dziwne jednej z jego sąsiadek, Elizie Janickiej. Kobieta zeznała później, że zawsze uważała go za człowieka wysokiej kultury, co w tamtych czasach nie zdarzało się często, a przede wszystkim za osobę rozsądną i przewidującą.

To właśnie dlatego tak bardzo się zdziwiła, gdy w chłodny poranek osiemnastego kwietnia zauważyła go idącego wzdłuż ulicy Balladyny w gdyńskim Orłowie, gdzie mieścił się jego dom.

Ubrany był tylko w jasną koszulę, której dwa ostatnie guziki pozostawały rozpięte. Materiałowe spodnie wyglądały na wygniecione, a część koszuli wystawała z nich, jakby nie zdążył jej wepchnąć za pasek. Najdziwniejsze jednak zdawało się to, że szedł w samych skarpetkach i zachowywał się tak, jakby w ogóle mu to nie przeszkadzało.

Janicka uznała, że coś musiało się stać, dlatego postanowiła wyjść i spytać sąsiada, czy ten nie potrzebuje pomocy. W ostatnim momencie się zawahała, gdyż Albrecht kierował się w stronę domu swojego szwagra, Rafała Dobrzyckiego. Kobieta pomyślała, że może mężczyźni popili w nocy i stąd

to dziwne zachowanie sąsiada. Obawiała się wmieszać, by nie wyjść na tę, co podgląda i myśli sobie Bóg wie co.

Ostatecznie Jan Albrecht zatrzymał się dobrych kilka metrów przed ogrodzeniem domu szwagra i stał tak przez chwilę, wpatrując się w budynek. Wystające z jego spodni poły koszuli powiewały na wietrze i gdyby nie to, Janicka mogłaby przysiąc, że czas stanął w miejscu.

Kobieta zdążyła tylko przełknąć ślinę, a Albrecht nagle obrócił się na pięcie i ruszył w drogę powrotną do domu. Sąsiadka obserwowała go zza uchylonej firanki i odprowadzała wzrokiem, aż zniknął za drzwiami budynku znajdującego się niemal vis-à-vis jej mieszkania. Machnęła ręką i zajęła się swoimi sprawami. Byłaby o tym z pewnością zapomniała, gdyby nie to, co wydarzyło się później.

Szybko okazało się, że Eliza Janicka była ostatnią osobą, która widziała Jana Albrechta żywego.

Sokulski niestety nie mógł już teraz porozmawiać z Janicką, gdyż kobieta zmarła z przyczyn naturalnych w sędziwym wieku osiemdziesięciu dwóch lat, a do zaginięcia Albrechtów doszło blisko trzydzieści lat temu.

Na szczęście funkcjonariusze przesłuchujący sąsiadkę zaginionych dobrze wykonali swoją robotę i Sokół dysponował szczegółowo sporządzonymi raportami i notatkami z tamtych czynności. Nigdy nie poznał komisarza Radosława Żywickiego, musiał jednak przyznać, że jest pod wrażeniem jego skrupulatności. Być może przyjdzie jeszcze czas, że będzie musiał zakłócić jego spokojną emeryturę, ale na razie nie było takiej potrzeby.

– To jak twoim zdaniem to wyglądało? – przerwała ciszę Daria Tyszką i posłała mu pytające spojrzenie.

– Tego się właśnie próbuję dowiedzieć – odparł bezmyślnie Sokulski i wrócił do lektury akt.

Tyszka pokręciła głową i uśmiechnęła się półgębkiem, po czym wskazała go palcem.

– Nie, stary, nie zbędziesz mnie tak łatwo – oznajmiła. – Ty wybrałeś tę sprawę jako naszą pierwszą, więc wytłumacz się teraz dlaczego.

– A ty się zgodziłaś.

– Sokół, kurwa... Widziałeś się wtedy? Leżałeś na tym szpitalnym łóżku, jakbyś miał ducha wyzionąć. Te wszystkie rurki, to pikanie urządzeń... – Zrobiła pauzę i uśmiechnęła się do niego zalotnie. – Jak miałam ci odmówić? Powiedziałabym wtedy...

– Dobra, rozumiem – przerwał jej Edward, nie mając ochoty po raz kolejny słuchać tego, w jak kiepskim był stanie i jak to wszyscy myśleli, że z tego nie wyjdzie.

– Powiedziałabym wtedy – kontynuowała niczym niezrażona Tyszka – że dałabym ci znacznie więcej, ale jeszcze weszłaby twoja żona, a wiemy, jak reaguje choćby na wzmiankę o mnie.

– Daj spokój. – Sokół znów jej przerwał, po czym po raz kolejny skłamał: – Przecież Iga cię lubi. Mówiłem ci tysiąc razy.

– A ja tysiąc razy w to nie uwierzyłam – odparła policjantka. – Mów, co myślisz o sprawie Albrechtów.

Sokulski w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

– Przecież musisz coś myśleć – zachnęła się Daria. – Nie wierzę, że bez powodu wybrałeś z całego stosu akurat tę. Poza tym coś mi się wydaje, że wężysz przy Dobrzyckim.

– A skąd taki pomysł?

– Stąd, że nikt bez powodu nie kręci się po klifie w tak kiepską pogodę.

Edward spojrzał na nią spod byka. Rzeczywiście od dawna podejrzewał, że Rafał Dobrzycki miał z tym coś wspólnego. A po jego śmierci, a właściwie po kwalifikacji jej powodów i zamknięciu śledztwa, Sokół kilka dni chodził struty.

– Skąd o tym wiesz? – spytał zadziornie.

– Mam swoje źródła informacji – odpowiedziała tajemniczo Tyszka. – Powiedz mi, dlaczego podejrzewasz Dobrzyckiego, a ja powiem, skąd wiem o twoim spacerze.

Sokół prychnął i pokręcił głową.

– Pewnie powiedział ci ktoś z komendy – zgadywał. – Może gość z archiwum doniósł, że wzięłem teczkę Dobrzyckiego, a ty złożyłaś sobie resztę do kupy.

– Może...

– Dobra, nieważne. – Edward machnął ręką i odchrząknął. – I tak musimy się tym zająć, więc...

– Nie musimy – weszła mu w słowo Tyszka, po czym dodała z przekąsem: – Ty chcesz się tym zająć.

– To jesteś ciekawa, co myślę, czy nie?

– Zamieniam się w słuch.

Edward zastanawiał się, od czego właściwie powinien zacząć. Czy od miejsca, gdzie Magdalena Dobrzycka zorientowała się, że z rodziną siostry stało się coś dziwnego? A może od tego, jak jej szwagier, Jan Albrecht, zrobił cały ten swój maraton po bankach, kasach oszczędnościowych i lichwiarzach, który do dziś był główną poszlaką przemawiającą za tym, że jego rodzina wciąż mogła żyć?

Jan i Natalia Albrechtowie mieli trójkę dzieci – dwie córki, które uczęszczały do ostatnich klas szkoły podstawowej,

Czy rozpoznasz zło, jeśli stanie tuż obok ciebie?

W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych w Gdyni dochodzi do zagadkowego zaginięcia rodziny Albrechtów, które przez blisko trzydzieści lat pozostaje nierozwiązaną tajemnicą. Do rozwikłania tej sprawy przystępuje dwójka funkcjonariuszy gdańskiego Archiwum X – Edward Sokulski i Daria Tyszką.

Niestety w ich śledztwie pojawia się znacznie więcej pytań niż odpowiedzi, a czas zatarł zarówno wspomnienia, jak i prawdę, którą od lat ktoś stara się ukryć. Fakty grzęzną w ślepych zaułkach, a wiele obiecujących tropów prowadzi donikąd – wprost do ściany milczenia. Na domiar złego najbliżsi zaginionych umierają, jakby nad całą rodziną zawisła śmiertelna klątwa.

Sokulski wraz z Tyszką przemierzają świat, którego już nie ma, starając się wyłuskać z bagna fałszu i zapomnienia wątki, które mogą doprowadzić ich do rozwiązania tajemnicy. Nie spodziewają się jednak, że ktoś depcze im po piętach – a zawodowa ciekawość może mieć wysoką cenę. Jak wiele są gotowi poświęcić, by odkryć prawdę?

FILIA

Mroczna

cena 52,90 zł

